

Zielone perpetuum mobile?

Na zarosniętych ścieżkach...

Wygląda na to, że ekolodzy wymyślili coś, czego podobno wymyślić się nie da: perpetuum mobile. Nazywa się ono „edukacja ekologiczna”.

Zobaczymy: ludzie będą się wciąż rozmnażać – jeśli nie w sposób naturalny, to w laboratoriach. Rodzice tychże dzieci będą wciąż płacić na rzecz dobra wspólnego podatki lub inne świadczenia. I tak w kółko, pokolenie za pokoleniem. Rolą „zielonych” twórców perpetuum mobile jest wyłącznie sprawienie, żeby ekologia była „gorącym” tematem (o co nietrudno, gdyż problemy ekologiczne są realne i stale narastają), żeby uwierzono w moc edukacji ekologicznej oraz żeby przeznaczono na nią część podatków. I już, perpetuum mobile, ponoć niemożliwe do skonstruowania w dziedzinie mechanizmów, zacznie funkcjonować na płaszczyźnie procesów społecznych. Chyba już zaczęło...

Oczywiście żartuję nieco, ale nie bez powodu. Ekolodzy różnią się między sobą pod wieloma względami, ale ich wiara w moc edukacji jest niezachwiana. Ekolog radykalny i spolegliwy, „spontaniczny” i „instytucjonalny”, przyrodnik i humanista – wszyscy oni chcieliby edukować i są przekonani, że to jedna z lepszych dróg do celu, jakim jest polepszenie kondycji przyrody i środowiska. Większość ekologów myśli bowiem, iż ludzie niszczą przyrodę dlatego, że nie zdają sobie sprawy, czym to grozi i jakie ma konsekwencje. Gdy tylko się o tym dowiedzą, przestaną ją niszczyć, powodowani zdrowym rozsądkiem i wzniosłymi teoriami. Trzeba więc uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć – do skutku. Stąd tyle energii i czasu poświęca się na edukację – zajęcia w szkołach, scenariusze lekcji, konkursy, pogadanki, podręczniki, wszystko to w coraz większym natężeniu.

Jest to jednak wiara bardzo naiwna, przypominająca, jak ujął rzecz poeta, próbę przerobienia zjadaczy chleba w aniołów. Wiara ta bierze swój początek w wizji człowieka powstałej w Oświeceniu – nasz gatunek składa się wedle niej z jednostek kierujących się przede wszystkim rozumem, a w dodatku niosących na początku życia niewielki „bagaż” postaw i poglądów. Stąd wzięło się przekonanie, że jeśli kogoś będziemy uczyć i przekonywać – to nauczymy i przekonamy, a tym łatwiej nam pójdzie, im młodszy będzie adept owej nauki.

Nic z tego. O ile wiek ma faktycznie jakieś znaczenie, gdyż łatwiej ukształtować nawyki osoby młodej, o tyle wiara w moc racjonalnej argumentacji jest cokolwiek oderwana od rzeczywistości. Ludzie nie są „czystym rozumem”, który chłonie informacje z otoczenia i mądrze je przetwarza. Współgrają w nich pierwiastki rozumowe z emocjonalnymi (wcale nie mniej silnymi), uprzedzenia i fobie, lęki i nadzieje, ślady przeżyć z różnych okresów życia, dążenia i interesy. A do tego dochodzi oddziaływanie innych cech i postaw zakorzenionych w naszej biologii, bo przecież jesteśmy – o czym ekolodzy, o dziwo, często zapominają – zwierzętami. Rozum może powściągać „część” biologii, ale nigdy jej nie opanuje – nawet ludzie poddani totalnej indoktrynacji nie byli nigdy do końca „urobieni”, a często jakiś niekontrolowany impuls z zewnątrz wywierał do góry nogami cały ich wyuczony światopogląd.

Wystarczy spojrzeć dokoła. Iluż to matolek kończy wieloletni proces edukacji bez żadnych efektów. Pedagodzy twierdzą o takich osobach, że się „nie uczyli” – nie, oni często się uczyli, ale nauczyć nie byli w stanie. Od dawna wiadomo, że niektóre substancje czy sposoby życia są bardzo szkodliwe dla zdrowia – i wcale nie stają się mniej popularne. Miliony ludzi kupują kolejne paczki papierosów, na których wielkimi literami pisze, czym grozi palenie. Tysiące ludzi wiedzą, że np. w hipermarketach pracownicy są zmuszani do okropnej harówki – i współczują im, ale regularnie odwiedzają hipermarkety, gdy uznają, że właśnie tam mogą korzystniej zrobić zakupy, skusi ich „magia” wielkiego sklepu lub moda na bywanie w nim. Sama wiedza i racjonalne myślenie nie wystarczą.

Proszę popatrzeć na ogromną rotację wśród obrońców środowiska – są świetnie wyedukowani ekologicznie, więc dlaczego tak wielu porzuca zaangażowanie w tej dziedzinie, a często wybiera w zamian aktywność szkodliwą dla Ziemi?

Edukacja nie załatwia sprawy. Prof. Jerzy Kłoczowski w niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Europa” (dodatek do „Faktu”) trafnie podsumował te naiwne wyobrażenia: „Sto lat temu myśłano, że wraz z oświatą powszechną, rozwojem szkół średnich i wyższych, podnoszeniem poziomu materialnego i kulturalnego zbudowane zostanie społeczeństwo mądrzejsze i szczęśliwsze, że świat będzie szczęśliwszy. Ale to my, Europejczycy, stworzyliśmy koszmar XX wieku. Wszyscy przegraliśmy. Czytając te optymistyczne prorocтва sprzed stulecia, uśmiechamy się...”.

Jest taka anegdota o dyrektorze znanego więzienia na wyspie Alcatraz. Gdy przeszedł na emeryturę, dziennikarze zapytali, jak więźniowie odpowiadali mu przez te lata na standardowo zadawane pytanie o wkroczenie na drogę łamania prawa. Podobno niemal wszyscy z nich mówili, że to przez złe towarzystwo... A przecież mnóstwo było nieudanych eksperymentów wspólnotowych, gdzie ludzie „sami swoi”, sprawdzeni, o podobnych zapatrywaniach i celach, próbowali tworzyć załączki „nowego społeczeństwa”. Tak było z falansterami, „alternatywnymi społecznościami”, komunami hipisów itp. – znakomita większość z nich rozlatywała się po krótkim czasie, a w tych, które przetrwały, miały miejsce identyczne konflikty i problemy, jak w „złym świecie”, który podobno został porzucony przez mieszkańców owych przybytków.

W USA lider tamtejszego ruchu radykalnej ekologii, Dave Foreman, zastanawiał się nad tym, co pcha ludzi do działania w obronie dzikiej przyrody. I stwierdził, że biorą się za to tak przeróżne (charakter, wiek, wykształcenie, zamożność, koleje losu) osoby, iż nie sposób mówić o jakiejś wspólnej racjonalnej przyczynie – uznał, że chodzi raczej o coś, co nieco żartobliwie nazwał „genem dzikości”. A taki gen albo się ma, albo nie – z próżnego i Salomon nie należy...

Czy to oznacza, że edukacja ekologiczna nie jest przydatna? Myślę, że jakaś jej forma jest potrzebna, by szybciej wyłapać tych z „genem dzikości” i dać im szansę robienia czegoś sensownego zamiast snucia jałowych marzeń o „powrocie do Natury”. Ale musiałyby to przybrać zupełnie inne formy niż obecnie, odwoływać się do odmiennych aspektów kultury i cech człowieczeństwa, i nie mieć charakteru masowego. Przede wszystkim jednak musiałyby to być prowadzone przez ludzi o cechach przewodnika („mędrca”), nie zaś pedagoga („oświecacza”), z jego naiwną wiarą w sformowanie Nowego Człowieka, idealnego pod – tym razem – ekologicznym względem.

Remigiusz Okraska